



G.K. Chesterton

HERE  
TYCY



FRONDA

HERE  
TYCY



G.K. Chesterton

HERE  
TYCY

przełożyła  
JAGA RYDZEWSKA

WARSZAWA - ZABKI  
2004

Tłumaczenie:

JAGA RYDZEWSKA

© by Jaga Rydzewska

Redakcja i korekta:

KS. GRZEGORZ RADZIKOWSKI SAC

Projekt okładki i opracowanie typograficzne:

JAN ZIELIŃSKI

Łamanie:

IWONA ZIELIŃSKA

ISBN 83-921200-5-1

ISBN 83-7031-426-0

Wydawcy:

FRONDA PL SP. Z O. O.

ul. Olbrachta 94

01-102 Warszawa

fronda@fronda.pl

www.fronda.pl

APOSTOLICUM

ul. Wilcza 8

05-091 Ząbki

info@apostolicum.pl

www.apostolicum.pl

Druk:

Drukarnia wydawnictwa APOSTOLICUM

tel. (022) 771 52 00

WYDANIE I

Mojemu Ojcu



I  
WSTĘPNE UWAGI  
O WAŻNOŚCI ORTODOKSJI

**N**ajdziwniejszą oznaką potężnego zła, utajonego w nowoczesnym społeczeństwie, jest osobliwe znaczenie, nadawane dziś pojęciu „ortodoksja”. W dawnych czasach heretyk szczyił się, że nie jest heretykiem. To królestwa tego świata były heretyckie, ze swymi policjantami i sędziami; ale nie on. On był ortodoksyjny. Nie uważał się wcale za buntownika przeciw autorytetom. To autorytety zbuntowały się przeciw niemu. Armie ze swoją okrutną niezawodnością, królowie o zimnych obliczach, majestat Państwa, racjonalne prawa – wszystko to były owce, które zbłądziły. On zaś czerpał dumę ze swej ortodoksji, ze słuszności swych poglądów. Jeśli pozostał sam wśród ryku bestii, był więcej niż człowiekiem; był kościołem. Stanowił centralny punkt wszechświata; to wokół niego wirowały gwiazdy. Żadne tortury, żadne męczarnie najstarszych, zapomnianych piekieł, nie mogły z niego wydusić przyznania, że jego wiara to herezja wobec wiary prawdziwej.

Dziś, z uśmiechem ni to zarozumiałstwa, ni to zakłopotania, mówi: „Myślę, że mam bardzo heretyckie poglądy” –



i toczy wzrokiem dokoła, czekając na oklaski. Słowo „herezja” nie oznacza już błędu. Gorzej – w potocznym rozumieniu oznacza odwagę i jasność myśli. Słowo „ortodoksja” nie oznacza już racji. Gorzej – w potocznym rozumieniu oznacza błąd.

Wszystko to świadczy o jednym i tylko o jednym: ludzie przestali się przejmować, czy ich poglądy są filozoficznie słuszne. Bo przecież na dobrą sprawę ktoś, kto oświadcza, że jest heretykiem, powinien wpieryw oświadczyć, że jest niespełna rozumu. Artysta z bohemy, noszący czerwony krawat, winien z goryczą twierdzić, że nikt nie rozumie jego ortodoksji. Dynamitard, podkładający bombę, powinien czuć, że kimkolwiek jest, jest w każdym razie ortodoksyjny.

Filozof na ogół postępuje niemądrze, jeśli wysyła na stos innego filozofa, bo wyznaje on odmienną teorię Wszczęświata. Praktykowano to bardzo często w schyłkowym i dekadencckim okresie Średniowiecza i nie można powiedzieć, by odniosło to pożądaný skutek. Istnieje jednak praktyka nieskończenie bardziej absurdalna i nieskuteczna niż palenie człowieka za poglądy. Polega ona na głoszeniu, że poglądy są w ogóle nieważne; a rozpleniła się bujnie w dwudziestym wieku, w tym schyłkowym i dekadencckim okresie Rewolucji Francuskiej.

Teorie generalizujące są dziś potępiane. Doktrynę praw człowieka zbywamy wzruszeniem ramion, tak samo jak doktrynę o wygnaniu z raju. Nawet ateizm jest dla nas zbyt teologiczny. Nawet rewolucja zanadto przypomina system; nawet wolność wydaje się zbyt restrykcyjna. Nie życzymy sobie żadnych

uogólnień. Pan Bernard Shaw ujął ten pogląd w znakomity epigram: „Złota reguła to brak jakiegokolwiek złotej reguły”. Zagłębiaamy się w coraz większe szczegóły, dyskutując o sztuce, polityce, książkach. Gdy człowiek wypowiada opinię na temat tramwajów, ma to swoją wagę; jeśli mówi o Boticellim, zostaje to odebrane jako istotne. Nie liczy się tylko jego pogląd na temat wszechrzeczy. Ma prawo badać i eksplorować milion obiektów, ale pod żadnym pozorem nie wolno mu natrafić na pewien dziwaczny obiekt, zwany Uniwersum, bo jeśli go odkryje, znajdzie religię i będzie stracony. Wszystko jest ważne – z wyjątkiem Wszystkiego.

To niefrasobliwe podejście do filozofii fundamentalnej nie wymaga nawet przykładów. Nie trzeba przykładów, bo jest jasne, że bez względu na to, co uznajemy za ważne dla naszych codziennych spraw, nigdy nie przywiązujemy wagi do cudzego światopoglądu. Myślimy, że nie ma dla nas znaczenia, czy kto inny jest optymistą czy pesymistą, zwolennikiem Kartezjusza czy Hegła, materialistą czy spirytystą. Weźmy jednak pierwszy z brzegu przykład. Na dowolnej popołudniowej herbatce u cioci słyszymy nierzadko, jak ktoś oświadcza: „A co to życie warte!”. Traktujemy tę wypowiedź identycznie jak słowa „Kiepska dzisiaj pogoda”. Nikt nie uważa, że taka opinia może mieć jakieś skutki, czy to dla człowieka, który ją wygłosił, czy dla reszty świata. A przecież gdyby potraktować ją serio i z wiarą, świat stanąłby na głowie. Mordercom wręczalibyśmy medale za uratowanie kogoś przed życiem; strażacy stawaliby

przed sądem za uratowanie kogoś przed śmiercią; trucizny byłyby dostępne zamiast lekarstw; wzywalibyśmy lekarza do osoby miewającej się niepokojąco dobrze; Królewskie Towarzystwo Humanitarne zostałyby rozpedzone na cztery wiatry jak horda dzikich zabójców. Nigdy jednak nie rozważamy kwestii, czy konwersacyjny pesymista wzmacnia czy rozbija społeczeństwo; żyjemy bowiem przeświadczenie, że teorie się nie liczą.

Nie tak to sobie wyobrażali ludzie, którzy walczyli kiedyś o wolność słowa. Gdy dawni liberałowie zdarli knebel herezjom, czynili to z myślą, że w ten sposób torują drogę dla nowych odkryć w dziedzinie religii i filozofii. Uważali prawdę o kosmosie za tak ważną, że każdy powinien dawać jej niezależne świadectwo. Dzisiaj uważa się prawdę za tak nieważną, że wszystko jedno, co kto o niej sądzi. Pierwsi uwolnili dociekania, jakby spuszczała ze smyczy ogara szlachetnej krwi; drudzy uwalniają dociekania, jakby wrzucali z powrotem do morza niejadalną rybę. Nigdy nie rozprawiano tak niewiele o ludzkiej kondycji jak teraz, gdy po raz pierwszy każdy może włączyć się do sporu. Dawne restrykcje oznaczały, że tylko ortodoksom wolno było dyskutować o kwestiach teologicznych. Współczesna swoboda oznacza, że nikomu nie wolno o nich dyskutować. Dobry gust, ten ostatni i najpodlejszy z ludzkich zabobonów, zdołał zamknąć nam usta tam, gdzie wszystkie inne metody zawiodły. Sześćdziesiąt lat temu uważano za rzecz w złym guście, gdy ktoś obnosił się z zagorzałym ateizmem. Potem nade-

szli zwolennicy Bradlauga<sup>1</sup>, ostatni ludzie głęboko wierzący, ostatni, którzy naprawdę przejmowali się Bogiem, ale i oni nie zdołali nic zaradzić. Zagorzały ateizm wciąż jest w złym guście, lecz ich męka coś przecież zmieniała – teraz w złym guście jest również zagorzałe chrześcijaństwo. Wyzwolenie spod restrykcji oznacza tyle tylko, że święty został zamknięty w tej samej więzy milczenia co herezjarcha. A potem konwersujemy uprzejmie o lordzie Angleseyu<sup>2</sup> lub o pogodzie i nazywamy to całkowitą wolnością religijną.

Wciąż jednak istnieją ludzie – i ja się do nich zaliczam – którzy twierdzą, że najpraktyczniejsze i najważniejsze, co trzeba wiedzieć o drugim człowieku, to jego wizja Wszechświata. Jesteśmy zdania, że kiedy gospodyni przyjmuje lokatora na stancję, powinna wziąć pod uwagę nie tylko jego dochody, lecz przede wszystkim jego życiową filozofię. Uważamy, że generał, który zamierza rozgromić wroga, powinien znać nie tylko jego liczebność, lecz przede wszystkim jego światopogląd. Sporne jest nie to, czy świat materialny zmienia się za sprawą naszych idei, lecz czy na dłuższą metę zmienia się za sprawą czegokolwiek innego.

---

<sup>1</sup> Charles Bradlaugh (1833-1891) – pierwszy w dziejach Anglii wojujący ateista. Kilkakrotnie wybierany do Parlamentu, nie zajmował miejsca w Izbie, bo nie godził się na złożenie przysięgi, zawierającej słowo „Bóg”. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

<sup>2</sup> Może chodzić o hrabiego Angleseya (1614-1686), postać z czasów Karola II, lub o markiza Angleseya (1768-1854), wiktoriańskiego wojskowego.

Kiedys ludzie to rozumieli. W XV wieku potrafili osądzać i dręczyć jakiegoś człowieka dlatego, że głosił niemoralne poglądy. W XIX wieku wychwalali i uwielbiali Oskara Wilde dlatego, że głosił niemoralne poglądy, po czym zniszczyli go w więzieniu dlatego, że zaczął je praktykować. Nie wiadomo, która z tych metod była okrutniejsza, lecz nie ulega wątpliwości, która jest bardziej groteskowa. Społeczeństwo czasów Inkwizycji uniknęło przynajmniej jednej hańby: nie czyniło sobie idola z kogoś, kto głosił określone przekonania, po to tylko, by uczynić z niego skazańca, gdy zechciał postępować zgodnie z tymi właśnie przekonaniem.

Bowiem w naszych czasach filozofia i religia, czyli nasza teoria spraw ostatecznych, została wyparta mniej więcej równocześnie z dwóch sfer, którymi zwykła władać. Literaturą rządził kiedyś taki czy inny ideał. Dziś zamiast ideałów mamy apele o „sztukę dla sztuki”. Ideał decydował też o polityce. Dziś mamy apele o „skuteczność”, co można z grubsza przełożyć jako „politykę dla polityki”. Przez ostatnie dwadzieścia lat ideały – czy to ideały porządku, czy wolności – smętnie i systematycznie obumierają w naszych książkach, zaś ambicje dowcipu i sztuki oratorskiej więdną cichutko w naszych parlamentach. Literatura świadomie odżegnuje się od polityki; polityka świadomie wyrzeka się wzorców literackich. W ten oto sposób i z jednej, i z drugiej wypychane są uogólniające teorie na temat świata; my zaś powinniśmy się zastanowić, cośmy w ten sposób zyskali, a co stracili. Czy literatura i polityka stały się lepsze, odkąd zatrzasnęły drzwi przed moralistami i filozofami?

Kiedy lud słabnie i karleje, zaczyna mówić o skuteczności. Na tej samej zasadzie człowiek, którego ciało obraca się w ruinę, zaczyna dużo mówić o zdrowiu. Żywy i pełne energii organizmy nie rozprawiają o swych procesach fizjologicznych, lecz o celach, które chcą osiągnąć. Człowiek daje najlepszy dowód witalności, gdy radośnie planuje podróż na koniec świata. Naród daje najlepszy dowód witalności, gdy absorbuje go myśl o własnej podróży na koniec świata – podróży ku Sądowi Ostatecznemu i Niebieskiemu Jeruzalem. Nie ma wyraźniejszej oznaki końskiego zdrowia, niż zapal do uganiania się za ideałami wysokiego lotu i dzikiej natury. To w czasach tryskającego wigorem dzieciństwa uparcie domagamy się gwiazdki z nieba. Żaden spośród twardych ludzi w czasach, gdy życie było twarde, nie zrozumiałby o co chodzi, gdybyśmy mu powiedzieli, że naszym celem jest skuteczność. Hildebrand<sup>3</sup> rzekłby na to, że jeśli o niego chodzi, pracował nie dla skuteczności, lecz dla Kościoła Katolickiego. Danton rzekłby, że pracował nie dla skuteczności, lecz dla wolności, równości i braterstwa. Nawet jeśli szczytem marzeń któregoś z tych ludzi było po prostu posłanie kogoś kopniakiem w dół schodów, myśleli o celu, jak mężczyźni, nie o samej czynności, jak paralitycy. Nie oznajmiali wszem i wobec: „Skutecznie podnosząc prawą nogę i używając mięśnia udowego oraz mięśnia łydki, które, jak z pewnością zauważycie, są pierwszorzędnie wytrenowane, celuję następnie...”.

---

<sup>3</sup> Hildebrand, czyli św. Grzegorz VII (ok. 1021-85) był papieżem od 1073 r. Podczas sporu o inwestyturę ekskomunikował cesarza niemieckiego Henryka IV i zmusił go do przysłowiowego pójścia do Canossy.

Odczuwali to całkiem inaczej. Do tego stopnia pochłaniała ich piękna wizja jegomościa rozpląszczonego u stóp schodów, że w tej ekstazie cała reszta działa się w okamgnieniu.

Zwyczaj generalizowania i idealizowania wcale nie oznaczał słabości w sferze praktyki. Czasy wielkich idei to czasy wielkich rezultatów. Pod koniec XVIII wieku, w erze sentymentalizmu i wyszukanych słów, ludzie byli w istocie żywotni i skuteczni. Sentymentalisci pokonali Napoleona. Cynicy nie umieli nawet złapać De Weta<sup>4</sup>. Dawni kunsztowni oratorzy mocno dzierżyli ster rządów, na dobre i na złe. Dziś mamy u steru silnych, milczących mężczyzn, którzy zabagnili sprawy i sprowadzili beznadziejny chaos. I tak jak odtrącenie wielkich słów i wielkich wizji wylansowało małych ludzi w polityce, tak też wylansowało małych ludzi w sztuce. Nowocześni politycy roszczą sobie prawa do bezgranicznej władzy, władzy Cezara i Nadczłowieka, twierdząc zarazem, że są zbyt praktyczni, by mogli być nieskazitelni, i zbyt kochają kraj, by mogli trzymać się wskazań moralności; efekt zaś jest taki, że byle miernota zostaje mianowana ministrem skarbu. Nowi filozofowie sztuki żądają tej samej bezgranicznej swobody, swobody by pustoszyć niebo i ziemię; efekt zaś jest taki, że byle miernota zostaje ogłoszona najlepszym poetą. Nie twierdzę, że nie ma już ludzi o silniejszych niż

---

<sup>4</sup> Christian de Wet (1854-1922) był południowoafrykańskim dowódcą, który w czasie wojny burskiej toczył z Anglikami skuteczną wojnę partyzancką.

oni charakterach, lecz czy ktokolwiek powie, że są dziś ludzie silniejsi niż tamci, żyjący w dawnych czasach, bez reszty podporządkowani swym poglądom i przepojeni swą wiarą? Można by dyskutować, czy takie ideowe zniewolenie jest lepsze od wolności, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że ich zniewolenie wydało dzieła na miarę większą, niż tworzy nasza wolność.

Teza, że sztuka jest z natury amoralna, zakorzeniła się solidnie w sferach artystycznych. Artyści mają dziś prawo wystawiać i publikować cokolwiek tylko przyjdzie im do głowy. Wolno im napisać *Raj Utracony*, w którym Szatan pokona Boga. Wolno im napisać *Boską Komedię*, w której niebo będzie pod samym dnem piekieł. A co napisali? Czyżby stworzyli dzieła wybitniejsze niż zajadły katolicki gibelin<sup>5</sup> lub sztywny purytański nauczyciel? Jak wiemy, napisali ot – parę kupletów. Milton bije ich na głowę pod względem nie tylko pobożności, lecz nawet buntowniczości, bo we wszystkich ich zbiorach wierszy próżno by szukać tak wyrafinowanego wyzwania wobec Boga, jakie rzuca miltonowski Szatan. Nie znajdziemy tam również wielkości pogaństwa odczuwanej tak mocno, jak odczuwał ją żarliwy chrześcijanin, gdy opisywał Farinatę, dumnie podnoszącego głowę w pogardzie dla piekła. A powód jest

---

<sup>5</sup> Gibelini i gwelfowie to dwa zwalczające się stronnictwa w miastach włoskich w XII-XIII wieku: najogólniej biorąc, jedni popierali cesarza, drudzy papieża, ale linie podziału w praktyce nieraz były nieostre i tym bardziej skomplikowane, że wewnątrz obu partii istniały rozmaite frakcje zajmujące rozmaite zmienne stanowiska. Jedni i drudzy byli katolikami.



oczywisty. Błuznierstwo to efekt artystyczny, który działa na światopogląd. Błuznierstwo zależy od wiary – i blaknie razem z wiarą. Ten, kto w to wątpi, niechaj usiądzie sobie wygodnie i spróbuje wymyślić oburzające błuznierstwo przeciw Thorowi. Coś mi się zdaje, że pod wieczór zostanie odnaleziony przez rodzinę w stanie skrajnego wyczerpania.

Ani zatem w świecie polityki, ani w świecie sztuki odrzucenie teorii uogólniających nie wyszło nam na dobre. Całkiem możliwe, że istniało wiele ideałów zwodniczych i szalonych, które umiały przyprawiać ludzkość o ból głowy, jednak z całą pewnością próżno by szukać ideału równie zwodniczego i szalonego jak ideał praktyczności. Nikt nie zaprzepścił tylu szans, co słynny z oportunistu lord Rosebery<sup>6</sup>, ów chodzący symbol naszych czasów – człowiek, który w teorii jest człowiekiem praktycznym, a w praktyce okazuje się bardziej niepraktyczny niż jakikolwiek teoretyk. Nie ma nic równie niemądrego jak kult życiowego sprytu. Osobnik bezustannie pochłonięty rozmyślaniami czy dana rasa jest silna albo czy taka lub inna sprawa zapowiada się obiecująco, nigdy nie będzie wierzył w żadną sprawę na tyle długo, by doprowadzić ją do zwycięstwa. Polityk-opor-

---

<sup>6</sup> Archibald, piąty hrabia Rosebery (1847-1929) wyróżniał się wielkimi ambicjami politycznymi. Ożenił się z córką Meyera Rothschilda specjalnie po to, by zaskarbić sobie poparcie finansjery. Piastował szereg coraz to nowych stanowisk i funkcji rządowych, przez krótki okres (1894-5) był premierem, lecz jego rząd przetrwał niewiele ponad rok. Ostatecznie, skłócony z większością kolegów partyjnych, wycofał się z życia publicznego.

tunista przypomina człowieka, który porzuca grę w bilard, bo przegrał rozgrywkę, i porzuca grę w golfa, bo przegrał mecz. Dla praktycznego osiągnięcia celów nic nie jest równie zgubne, jak to olbrzymie znaczenie, przypisywane każdemu doraźnemu zwycięstwu. Nic nie zawodzi tak kompletnie jak sukces.

Kiedy odkryłem, że oportunizm jest zawodny, przyjrzałem mu się dokładniej i stwierdziłem, że inny być nie może. Jest rzeczą o wiele bardziej praktyczną zacząć od podstaw – to znaczy, od teorii. Teraz już wiem, że ludzie, którzy zabijali się wzajem z powodu odmiennych poglądów na *homoousion*<sup>7</sup> mieli znacznie więcej oleju w głowie niż ludzie, którzy urządzali kłótnie nad ustawą o szkolnictwie. Chrześcijańscy dogmatycy próbowali zaprowadzić na ziemi rządy świętości, toteż zaczęli od zdefiniowania, czym jest świętość. Tymczasem nowocześni reformatorzy edukacji chcą zaprowadzić wolność religijną, lecz nie próbują sprecyzować, czym jest religia ani czym jest wolność. Jeśli dawni księża narzucali ludzkości jakąś tezę, przynajmniej zadawali sobie trud, by sformułować ją jak najdokładniej. Współczesne tłumy anglikanów i nonkonformistów organizują prześladowania za odstępstwo od doktryn, które nigdy nawet nie zostały ujęte w słowa.

Z tych powodów, i nie tylko, doszedłem do wniosku, że pora wrócić do spraw fundamentalnych. Taka też jest przewodnia

---

<sup>7</sup> Zwolennicy *homoousion* (tożsamości istoty) głosili, że Chrystus jest w Trójcy Świętej równy z Bogiem Ojcem, czyli współistotny Ojcu, zaś ich adwersarze twierdzili, że Chrystus jest tylko podobny do Boga Ojca, ale nie jest Mu równy.

myśl tej książki. Zamierzam rozprawić się z szeregiem moich najwybitniejszych współczesnych, nie w kwestiach osobistych ani literackich, lecz w odniesieniu do rzeczywistych doktryn, których nauczają. Nie zajmuję się tu panem Rudyardem Kiplingiem jako efektownym artystą lub wybujałą indywidualnością; zajmuję się nim jako heretykiem – to jest, człowiekiem, którego opinie mają czelność odbiegać od moich własnych. Nie piszę tu o panu Bernardzie Shaw jako o jednym z najbłyskotliwszych i najuczciwszych ludzi pod słońcem; piszę o nim jako o heretyku – to jest, o człowieku, którego światopogląd jest wielce określony, wielce spójny i wielce błędny. Zwracam się ku metodom doktrynalnym XIII wieku, z nadzieją, że a nuż coś zdziałam.

Przypuśćmy, że na ulicy dochodzi do zbiegowiska z powodu, dajmy na to, latarni, którą wiele wpływowych osób najchętniej by przewróciło. Ktoś pyta o zdanie mnicha w szarym habicie, symbolizującego średniowieczny sposób myślenia. Mnich zaczyna wykład w suchym stylu scholastycznym: „Rozważmy wpierw, bracia, wartość światła. Jeśli światło jako takie jest dobre...”. W tym momencie mnich dostaje po głowie, i chyba nas to nie dziwi. Tłum ludzi otacza latarnię, przewraca ją w ciągu dziesięciu minut i przez pewien czas wszyscy gratulują sobie wzajem tego wyczynu, tak praktycznego i całkiem nie średniowiecznego. Po czym zaczynają się kłopoty. Niektórzy zniszczyli latarnię, bo była gazowa, oni zaś chcieli elektrycznej; inni zniszczyli latarnię, bo potrzebny im był kawałek żelaza; jeszcze inni, bo pragnęli ciemności, w której najlepiej kwitnie zło. Byli tacy,

co uważali, że latarnia jest za kiepska, i tacy, co uważali, że jest aż za dobra; parę osób zamierzało zniszczyć coś, co należy do gminy, a parę innych chciało zwyczajnie zniszczyć cokolwiek. Skończyło się to wojną w głębokim mroku, i nikt nie był do końca pewien, komu zadaje cios. Powoli i stopniowo znaleźli się tacy, którzy doszli do wniosku, że mnich jednak miał rację – że wszystko zależy od naszej filozofii Światła. Tyle, że mogliśmy dyskutować o niej w blasku latarni – teraz musimy dyskutować w ciemnościach.

